

Dama pikowa

Aleksander Puszkina



calibre 0.9.27

DAMA PIKOWA

Puszkina Aleksander

I.

Najnowsza księga gadek. Pikowa dama oznacza skrytą nieżyczliwość.

Pewnego razu u Narumowa, oficera konnej gwardji grano w karty. Długa noc zimowa zbiegła niepostrzeżenie; do wieczerzy zasiadano o godzinie piątej zrana. Ci, którzy wygrali, jedli z wielkim apetytem, inni zaś siedzieli roztargnieni przed pustym nakryciem. Lecz gdy zjawił się szampan, rozmowa ożywiła się i wszyscy wzięli w niej udział.

— Jak ci się powiodło, Suryn? — zapytał gospodarz.

— Przegrałem, jak zwykle. Muszę przyznać, że nie mam szczęścia; gram mirandolem, nigdy nie gorączkuję, nic mnie nie zdoła wybić z równowagi, a jednak stale przegrywam!

— I ani razu nie dałeś się skusić? Ani razu nie postawiłeś na rute?... Zadziwia mnie wytrzymałość twoja.

— A czy German inny? — rzekł jeden z gości, wskazując młodego inżyniera, — nigdy nie wziął karty do rąk, nigdy nie zagiął parolu, a siedzi do piątej rano i przygląda się naszej grze.

— Gra zajmuje mnie bardzo, rzekł German, lecz nie mogę poświęcać niezbędnego, w nadziei zdobycia zbyt dużego.

— German, to Niemiec; wyrachowany — otóż i wszystko! — zauważył Tomski. — Ale kto jest dla mnie niepojęty, to moja babka, hrabina Anna Tiedotowna.

— Jaki? co? — zawołali goście,

— Nie mogę zbadać, mówił dalej Tomski, dlaczego babka moja nie poniteruje?

— A cóż w tem dziwnego, że osiemdziesięcioletnia staruszka nie poniteruje?

— Więc wy nic o niej nie wiecie?

— Nie! doprawdy nic!

— Posłuchajcie tedy! Trzeba wam wiedzieć, że babka moja szesnaście lat temu jeździła do Paryża i była tam w wielkiej modzie. Biegano za nią, aby zobaczyć La Venus moscovite; Richelieu włóczył się za nią, a babka zapewnia, że o mało co nie zastrzelił się z powodu jej nieczułości. W tym czasie damy grały w Faraona. Pewnego razu na dworze przegrała ona na słowo z księciem Orleanu jakąś wielką sumę. Przyjechawszy do domu, babka, zdejmując muszki z policzków i odwiązując fiszbiny, zawiadomiła dziadka o swej przegranej i kazała mu zapłacić. Nieboszczyk dziadek, o ile pamiętam, był czemś w rodzaju dworzanina babki. Bał się jej, jak ognia; jednak, usłyszawszy o tak strasznej przegranej, stracił panowanie, przyniósł rachunki, dowiódł jej, że przez pół roku wydali pół miliona, że pod Paryżem nie mają ani podmoskiewskiej ani saratowskiej wsi i zgoła odmówił płacenia. Babka spoliczkowała go i położyła się spać sama, na znak swej niełaski, Nazajutrz kazała wezwać męża, w nadziei, że domowa kara podziałała na niego, ale był on niewzruszony. Pierwszy raz w życiu zniżyła się z nim do dysputy i wyjaśnień, próbowała go wzruszyć, dowodząc łagodnie, że dług długowi nie równy i że jest różnica między księciem, a furmanem. Gdzież tam! Dziadek się zbuntował. Nie, i tyle! Babka nie wiedziała, co zrobić. Miała znajomego bardzo znakomitego człowieka. Słyszeliście o hrabi Sen-Żermen, o którym opowiadają tak wiele cudownych rzeczy. Wiecie, że podawał się on za żyda wiecznego tułacza, za wynalazcę eliksiru życia, filozoficznego kamienia i t. d. Śmiano się z niego, jak z szarlatana, a Casanova w swych pamiętnikach twierdzi, że był on szpiegiem; jednak Sen-Żermen mimo swej tajemniczości miał bardzo szanowną powierzchowność i był bardzo miłym człowiekiem w towarzystwie. Babka kocha go do tej pory bez pamięci i gniewa się, jeśli mówią o nim bez szacunku. Babka wiedziała, że Sen-Żermen mógł

rozporządzać wielkimi pieniędzmi. Postanowiła udać się do niego, napisała list i prosiła go, aby niezwłocznie do niej przyjechał. Stary dziwak zjawił się natychmiast i zastał ją w strasznej rozpacz. Przedstawiła mu w najbardziej czarnych barwach barbarzyństwo męża i nakoniec rzekła, iż całą nadzieję pokłada na jego przyjaźni i uprzejmości. Sen-Żermen zamyślił się." Mogę pani służyć tą sumą, rzekł; wiem jednak, że nie będzie pani dopóty spokojną, dopóki nie zwróci mi jej pani, a nie chciałbym panią zaplątać w świeże kłopoty. Jest inny sposób, może się pani odegrać".

— Lecz, miły hrabio, odpowiedziała babka, powiadam panu, że my wcale nie mamy pieniędzy.

— Pieniądze nie są tu potrzebne, odparł Sen-Żermen, proszę mnie posłuchać.

Wtedy odsłonił jej tajemnicę, za którą każdy z nas drogoby zapłacił...

Młodzi gracze zdwoili uwagę. Tomski zapalił fajkę, zaciągnął się i mówił dalej:

— Tego samego wieczoru babka zjawiła się w Wersalu au jeu de la reine. Księżę Orleański rzucał karty; babka zlekka przeprosiła, że nie przywiozła swego długu, dla usprawiedliwienia się zmyśliła maleńką historję i zaczęła do niego zagrywać. Wybrała trzy karty i postawiła je jedną za drugą: wszystkie wygrały i babka odegrała się zupełnie.

— Przypadek! — rzekł jeden z gości.

— Bajka! — zauważył Germen.

— Nie sądzę, odpowiedział poważnie Tomski.

— Jakto! rzekł Narumow, masz babkę, która zgaduje trzy karty naraz i do tej pory nie zbadałeś jej kabalistyki?

— Tak, djabła zjesz! odrzekł Tomski, miała czterech synów, w tej liczbie i mego ojca; wszyscy czterej byli ostatnimi graczami, a żadnemu nie wyjawiała swej tajemnicy, chociaż byłoby to niezłe dla nich, nawet dla mnie. Lecz oto, co mi opowiadał wuj, hrabia Iwan Iljicz, i o czym mnie pod słowem honoru zapewniał. Nieboszczyk Czaplicki, ten sam, który umarł w nędzy, straciwszy miliony, kiedyś w młodości swej przegrał — zdaje się do Zorycza — około trzysta tysięcy. Był w rozpacz. Babka, która zawsze była surowa wobec szaleństw młodzieży, jakoś zlitowała się nad Czaplickim. Dała mu trzy karty, zaznaczając, aby postawił jedną za drugą i wzięła od niego słowo honoru, że już nigdy więcej grać nie będzie. Czaplicki zjawił się u swego zwycięzcy; zasiedli do gry. Czaplicki postawił na pierwszą kartę pięćdziesiąt tysięcy i wygrał, zagiął parol, odegrał się i jeszcze wygrał...

— Czas jednak spać; już trzy na szóstą.

W istocie już świtało; młodzi ludzie dopili kieliszki i rozjechali się.

II.

*Il paraît que monsieur est décidément
pour les suivantes.*

Que voulez vous madame?

Elles sont plus fraîches.

DIALOG WIELKOŚWIATOWY.

Stara hrabina XXX siedziała w swej gotowalni, otoczona przez trzy pokojówki. Jedna trzymała puszkę z różem, druga pudełko ze szpilkami, trzecia wysoki czepiec ze wstążkami ognistego koloru. Hrabina nie miała najmniejszej pretensji do piękności, dawno zwiędłej, ale zachowała wszystkie nałogi swej młodości, ściśle stosując się do mody lat siedemdziesiątych i ubierała się tak samo długo, tak samo starannie, jak sześćdziesiąt lat temu. Przy oknie przed krosnami siedziała panna, jej wychowanica.

— Witaj, grand' maman, rzekł, wchodząc, młody oficer. Bonjour, mademoiselle Lise. Grand' maman, przychodzę do ciebie z prośbą.

— Co takiego, Paul?

— Proszę o pozwolenie przedstawienia ci jednego z mych przyjaciół i przyprowadzenia go w piątek na bal.

— Przywieź go prosto na bal i wtedy mi go przedstawisz. Czy byłeś wczoraj u XXX?

— Naturalnie! było bardzo wesoło; tańczono do piątej rano. Ach, jak piękną była Jelecka!

— I, mój kochany! Co też w niej pięknego? Nie taka była jej babka, księżna Daria Pietrowna? Aha, napewno bardzo się postarzała księżna Daria Pietrowna?

— Jakto, postarzała? odpowiedział w roztargnieniu Tomski, ona już od siedmiu lat umarła.

Panna podniosła głowę i dała znak młodzieńcowi. Ow przypomniawszy sobie, że tajono przed starą hrabiną śmierć jej rówieśnic i zagryzł wargi. Lecz hrabina wysłuchiwała nowej dla siebie wiadomości z wielkim spokojem.

— Umarła! rzekła, a ja nie wiedziałam! Byłyśmy razem mianowane damami dworu i, gdy przedstawiałyśmy się, to cesarzowa...

I hrabina po raz setny opowiedziała wnukowi swą anegdotę.

— No, Paul, rzekła potem; teraz pomóż mi wstać. Lizeńko, gdzie jest moja tabakierka?

I hrabina z dziewczętami poszła za parawan kończyć swą toaletę. Tomski został z panną.

— Kogo pan chce przedstawić? cicho zapytała Liza Iwanowna.

— Narumowa. Czy zna go Pani?

— Nie! On wojskowy czy urzędnik?

— Wojskowy.

— Inżynier?

— Nie! Kawalerzysta. A dlaczego pani myślała, że jest on inżynierem.

Panna zaśmiała się i ani słowem nie odpowiedziała.

— Paul! zawołała hrabina z za parawanu, przyślij mi jakiś nowy romans, tylko proszę, nie w rodzaju współczesnych.

— Jakto, grand-maman?

— To jest taki romans, w którym bohater nie dusiłby ojca, ani matki i gdzie nie byłoby topielców.

Strasznie boję się topielców.

— Takich romansów dziś niema. Czy chcesz może rosyjskie?

— A czyż istnieją rosyjskie romanse?... Przyślij, ojczy, przyślij, proszę!

— Wybacz, grand-maman, śpieszę się... Przepraszam, Lizo Iwanowno! Dlaczego pani myślała, że

Narumow jest inżynierem?

I Tomski wyszedł z garderoby.

Liza Iwanowna została sama; położyła robotę i zaczęła spoglądać przez okno. Wkrótce po drugiej stronie ulicy z za węgła domu ukazał się młody oficer. Rumieniec okrył jej policzki; wzięła się znów do pracy i schyliła głowę tuż nad kanwą. Wtedy weszła hrabina, całkiem już ubrana.

— Każ, Lizeńko — rzekła — zaprządz do karety, pojedziemy na spacer.

Lizeńka wstała z za krosen i chciała sprzątnąć swą robótkę.

— Coś ty, mateczko moja! głucha, czy co? krzyknęła hrabina. Każ prędzej zaprzęgać do karety.

— Zaraz! — odpowiedziała cicho panna i pobiegła do przedpokoju.

Wszedł służący i podał hrabinie książki od księcia Pawła Aleksandrowicza.

— Dobrze! podziękować, — rzekła hrabina. — Lizeńko, Lizeńko, a dokąd ty biegniesz?

— Ubierać się.

— Zdążysz, mateczko. Siedź tutaj. Otwórz tam pierwszy tom, czytaj na głos...

Panna wzięła książkę i przeczytała kilka wierszy.

— Głośniej! — rzekła hrabina, — Co się z tobą dzieje, matko moja? Głos straciłaś, czy co?...

Zaczekaj... przysuń mi stołeczek, bliżej... no!

Liza Iwanowna przeczytała jeszcze dwie stronice. Hrabina ziewnęła.

— Rzuć tę książkę, — rzekła, — co za brednie! Odeślij ją księciu Pawłowi i każ podziękować...

A cóż kareta?...

— Kareta gotowa, — rzekła Liza Iwanowna, wyglądając na ulicę.

— Dlaczegoś ty nie ubrana? — rzekła hrabina, — zawsze trzeba na ciebie czekać. To jest, mateczko, nie do zniesienia!

Liza pobiegła do swego pokoju. Nie minęły dwie minuty, hrabina zaczęła dzwonić z całej siły. Trzy dziewczyny wbiegły przez jedne, a kamerdyner przez drugie drzwi.

— Cóż to, nie można się was dowołać? — powiedziała hrabina. — Powiedzcie Lizie Iwanownie, że czekam na nią.

Liza Iwanowna weszła w płaszczu i kapeluszu.

— Nakoniec, matko moja! — rzekła hrabina. — Co za stroje! Po co to?... Kogo olśniewać?... A jaka pogoda? zdaje się wiatr.

— Wcale nie, jaśnie oświecona pani! bardzo spokojnie! — odpowiedział kamerdyner.

— Wy zawsze mówicie odwrotnie! Otwórzcie lufcik. Tak jest: wiatr! i jaki chłodny! Odprzęgać karete! Lizeńko, nie pojedziemy — nie było po co się stroić.

— Oto moje życie! — pomyślała Liza Iwanowna. Rzeczywiście, Liza Iwanowna była najniezwyklejszym stworzeniem. Gorzki cudzy chleb, powiada Dante, i ciężkie są stopnie cudzego ganku — a któż może znać lepiej gorycz zależności, niż biedna wychowanka zamożnej staruszki? Hrabina XXX nie miała naturalnie złej duszy, lecz była chimeryczna, jako kobieta zepsuta przez świat, skąpa, pogrążona w zimnym egoizmie, jak wszyscy starcy, którzy przeżyli swą zdolność do kochania w swoim czasie, obcy terażniejszości. Brała ona udział we wszystkich kłopotach wielkiego świata, chodziła na bale, gdzie siedziała w kącie, naróżowiona i wystrojona po staroświecku, jako potworna i nieodzowna ozdoba sali balowej; podchodzili do niej z niskimi pokłonami przyjeżdżający goście, jakby według ustalonego obrzędu, i potem nikt się już nią nie zajmował. Przyjmowała ona u

siebie całe miasto, pilnując ścisłej etykiety i nie poznając nikogo naprawdę. Liczna czeladź jej, roztywszy i posiwiawszy w jej przedpokojach i babieńcu, robiła co chciała, na wyścigi okradając staruszkę. Liza Iwanowa była domową męczennicą. Nalewała herbatę i dostawała wymówki za nadmierne szafowanie cukrem; czytała na głos romanse i była winna wszystkich omyłek autora; towarzyszyła hrabinie w jej przechadzkach i odpowiadała za pogodę i za ulicę. Miała wyznaczoną pensję, której nigdy nie dopłacano, tymczasem zaś wymagano od niej, żeby była ubrana, jak wszyscy, to jest, jak bardzo niewiele. W świecie grała rolę najędzniejszą. Wszyscy ją znali, lecz nikt nie zauważał; na balach tańczyła tylko wówczas, gdy brakło vis-a-vis, damy zaś brały ją pod rękę za każdym razem, gdy musiały iść do garderoby poprawić coś w swym stroju. Była ona ambitna, cierpiała żywo wskutek tego i rozglądała się naokół, oczekując niecierpliwie wybawcy; lecz młodzi ludzie, wyrachowani, nie zaszczycali jej uwagą, chociaż Liza Iwanowna była sto razy miłsza od bezczelnych i zimnych kobiet, wokół których kręcili się oni. Ileż razy, uciekwszy z nudnego i pysznego salonu, szła płakać do swego ubogiego pokoju, gdzie stał parawan, oklejony tapetą, komoda, lusterko i malowane łóżko i gdzie paliła się słabo łojowa świeca w miedzianym lichtarzu.

Pewnego razu — zdarzyło się to w dwa dni po wieczorze, opisanym na początku powieści i na tydzień przed sceną, na której zatrzymaliśmy się — pewnego razu Liza Iwanowna, siedząc przy oknie za krosnami, mimowoli spojrzała na ulicę i zobaczyła młodego inżyniera, stojącego nieruchomo i wpatzonego w jej okno. Spuściła głowę i znów zajęła się robotą; po pięciu minutach spojrzała znowu; młody oficer stał na tem samym miejscu. Nie mając nałogu kokieterji z przechodzącymi oficerami, przestała patrzeć na ulicę i szła blisko dwie godziny, nie podnosząc głowy. Podano obiad. Wstała, zaczęła sprzątać krosna i spojrzawszy mimochodem w okno ujrzała znów oficera. Wydało jej się to dość dziwne. Po obiedzie podeszła do okna z uczuciem pewnego niepokoju, lecz oficera już nie było — i zapomniała o nim... Po dwu dniach, wychodząc z hrabiną do karety, ujrzała go znowu. Stał przy samym podjeździe, zasłoniwszy twarz bobrowym kołnierzem; czarne jego oczy błyszczały z pod kapelusza. Liza Iwanowna przestraszyła się, sama nie wiedząc, czego, i wsiadła do karety z niewytłomaczonym drżeniem.

Wróciwszy do domu, podbiegła do okna — oficer stał na dawnym miejscu, ze wzrokiem skierowanym na nią; odeszła dręczona ciekawością i poruszona zupełnie nowem dla siebie uczuciem. Od tego czasu nie minął dzień, aby młody człowiek nie zjawił się o pewnej godzinie pod oknami ich domu. Między nim a nią, nawiązały się bezwiedne stosunki. Siedząc na swem miejscu przy pracy, czuła jego zbliżanie się, podnosiła głowę i patrzyła na niego z każdym dniem dłużej i dłużej. Młody człowiek, zdawało się, był jej wdzięczny za to, ona zaś widziała wzrokiem młodości, jak szybki rumieniec pokrywał jego bladą twarz za każdym razem, gdy spotkały się ich spojrzenia. Po tygodniu uśmiechnęła się do niego...

Gdy Tomski zapytał o pozwolenie przedstawienia hrabinie swego przyjaciela, serce biednej dziewczyny zabiło. Ale, dowiedziawszy się, że Narumow nie jest inżynierem, a kawalerzystą gwardyjskim, pożałowała, iż niewczesnym pytaniem zdradziła swą tajemnicę Tomskiemu.

German był synem zruszczonego Niemca, który mu pozostawił maleńki kapitał. Twardo przekonany o potrzebie ustalenia swej niezależności, German nie tknął nawet procentów, żył tylko z pensji, nie pozwalając sobie na najmniejszą zachciankę. Przytem był skryty i ambitny, a towarzyszącej rzadko nadarzała się sposobność kpienia sobie z jego nadmiernej oszczędności. Miał on silne namiętności i ognistą wyobraźnię, lecz hart ratował go przed zwykłymi błędami młodości. Naprzykład, będąc w duszy graczem, nigdy nie brał kart do ręki, gdyż obliczył, że to, co posiadał, nie pozwala mu (jak zwykł był mówić sam) "poświęcać niezbędne w nadziei zdobycia zbytecznego", a tymczasem całe noce przesiadywał za karcianymi stołami i śledził z gorączkowym drżeniem za

zmiennemi losami gry.

Anegdota o trzech kartach podziałała silnie na jego wyobraźnię i całą noc nie wychodziła mu z głowy." A co, jeżeli — myślał nazajutrz wieczorem, włączając się po Petersburgu — co, jeżeli stara hrabina odsłoni mi swoją tajemnicę! lub nazaczy mi te trzy pewne karty! Dlaczego nie spróbować swego szczęścia?... Przedstawić się jej, zostać jej kochankiem — lecz na to wszystko trzeba czasu, a ona ma osiemdziesiąt siedem lat, może umrzeć za tydzień, za dwa dni!... A sama anegdota?... Czy można jej wierzyć?... Nie! oszczędność, umiarkowanie i pracowitość, oto trzy pewne karty, oto, co potroi, pomnoży mój kapitał i da mi spokój i niezależność!" Rozważając w ten sposób, ocknął się na jednej z głównych ulic Petersburga przed domem o staroświeckiej architekturze. Ulica była pełna ekwipażów; jedna karetka za drugą toczyła się pod oświetlony podjazd. Z karetek co chwila wysuwały się to piękna nóżka młodej piękności, to dźwięczące ostrogami buty, to skarpetka w paski i dyplomatyczny bucik. Szuby i płaszcze obok nadętego szwajcara, German zatrzymał się.

— Czyj to dom? — zapytał stróża w narożnej budce.

— Hrabiny XXX — odpowiedział stróż. German zadrżał. Dziwaczna anegdota znów wróciła mu na myśl. Zaczął chodzić koło domu, myśląc o jego właścicielce i o jej cudownej umiejętności. Późno wrócił do swego spokojnego kąta, nie mógł długo usnąć i, gdy sen nim owładnął, przyśniły mu się karty, zielony stół, paczki banknotów i kupy czerwońców. Stawiał kartę za kartą, zaginał rogi bez wahania, wygrywał bez przerwy i zagarniał ku sobie złoto, a banknoty wkładał do kieszeni. Zbudziwszy się już późno, westchnął nad utratą swego fantastycznego bogactwa, poszedł znów włączyć się po mieście i znów ocknął się przed domem hrabiny XXX. Nieznana siła, zdawało się, przyciągała go tutaj. Przystanął i zaczął patrzeć na okna. W jednym kącie ujrzał czarnowłosą główkę, sklonioną prawdopodobnie nad książką lub robótką. Główka podniosła się. German spostrzegł świeżą twarzyczkę i czarne oczy. Ta chwila decydowała o jego losie.

III.

*Vous m'écrivez mon ange, des lettres
de quatre pages plus vite que je ne puis
les lire.*

Korespondencja.

Ledwie Liza Iwanowna zdążyła zdjąć kapelusz, już hrabina posłała po nią i kazała ponownie zajechać karecie. Poszły wsiadać. W tej samej chwili, gdy dwaj lokaje podnieśli staruszkę i wsunęli ją w drzwiczki, Liza Iwanowna ujrzała tuż przy samych kołach swojego inżyniera; chwycił ją za rękę; nie mogła zapanować nad sobą ze strachu, a młody człowiek zniknął — list został się w jej ręce. Schowała go za rękawiczkę i przez całą drogę nic nie słyszała i nie widziała. Hrabina miała zwyczaj stawiać w karecie co chwila pytania: "kogo spotkaliśmy? jak się nazywa ten most? co jest napisane na tym szyldzie?" Liza Iwanowna tym razem odpowiadała na domysł i nietrafnie, czem rozgniewała hrabinę.

— Co się z tobą stało, matko moja! Zbałwaniłaś, czy co? Ty mnie wcale nie słyszysz, albo nie rozumiesz?... Dzięki Bogu, jeszcze nie straciłam rozumu!

Liza Iwanowna nie słuchała jej wcale. Powróciwszy do domu, pobiegła do pokoju i wyjęła z za rękawiczki list; był on zapieczętowany. Liza Iwanowna przeczytała go. List zawierał wyznanie miłosne, był czuły, z szacunkiem i słowo w słowo wzięty z niemieckiego romansu. Ale Liza Iwanowna po niemiecku nie umiała i była bardzo nim zadowolona.

Jednak przyjęty list niezwykle ją niepokoił. Po raz pierwszy wchodziła w skryty i bliski stosunek z młodym mężczyzną. Jego obcesowość przerażała ją. Zarzucała sobie nieostrożność w zachowaniu się i nie wiedziała, co robić; przestać siadywać przy oknie i obojętnością zmrozić w młodym oficerze ochotę do dalszego ścigania jej? czy odesłać mu list? odpowiedzieć chłodno i stanowczo? Nie miała się kogo poradzić, nie posiadała ni przyjaciółki, ni opiekunki. Liza Iwanowna postanowiła odpowiedzieć.

Usiadła przy biurku, wzięła pióro, papier — i zamyśliła się. Kilka razy zaczynała swój list — i darła go. To wyrażenia zdawały się jej zbyt łagodne, to zbyt szorstkie. W końcu udało się jej napisać kilka wierszy, z których była zadowolona. "Jestem pewna — pisała — że ma pan uczciwe zamiary i nie chciał pan obrazić mnie bezmyślnym postępkim; lecz znajomość nasza nie powinna być zacząć się w ten sposób. Zwracam panu list pański i mam nadzieję, że nie będę miała powodu — do żalu za niezasłużony brak szacunku".

Nazajutrz, ujrzawszy idącego Germana, Liza Iwanowna wstała z za krosen, wyszła do salonu, otworzyła lufcik i rzuciła list na ulicę, licząc na spryt młodego oficera. German podbiegł, podniósł list i wszedł do cukierni. Zerwawszy pieczęć, znalazł swój list i odpowiedź Lizy Iwanowny. Nic innego nie oczekiwał, więc wrócił do domu, bardzo zainteresowany swą intrygą.

W trzy dni później młodzieńca, o bystrem spojrzeniu mamzel z magazynu mód przyniosła karteczkę. Liza Iwanowna otworzyła ją z niepokojem, przewidując rachunek, gdy nagle poznała pismo Germana.

— To, duszko, omyłka, — rzekła; — ta kartka nie do mnie.

— Nie, właśnie do pani! — odparła śmiała dziewczynka, nie ukrywając łobuzerskiego uśmiechu. — Proszę przeczytać.

Liza Iwanowna przebiegła wzrokiem kartkę German prosił o spotkanie.

— Nie może być, — rzekła Liza Iwanowna, przestraszona pośpiesznością żądania i sposobem użytym do tego celu, — To napewno nie do mnie.

I podarła list w drobne kawałeczki.

— Kiedy list był nie do pani, dlaczego pani go podarła? — rzekła mamzel. — Ja zwróciłabym go temu, kto go posłał.

— Proszę, duszko! — rzekła Liza Iwanowna, rozgniewana jej uwagą — na przyszłość proszę nie przynosić mi karteczek. A temu, kto cię posłał, powiedz, że powinien się wstydzić...

Lecz German nie ustąpił. Liza Iwanowna codziennie otrzymywała od niego listy to w ten, to w inny sposób. Nie były one już tłumaczone a niemieckiego.

German pisał je, natchniony namiętnością i mówił językiem sobie właściwym. Wyrażała się w nich i nieugiętość pragnień i chaos nieopanowany wyobraźni. Liza Iwanowna już nie miała zamiaru ich odsyłać: upajała się nimi, zaczęła na nie odpowiadać, a jej liściki z godziny na godzinę stawały się dłuższe i czulsze. W końcu rzuciła mu przez okno list następujący: "Dziś bal u XXXskiego posła. Hrabina będzie tam. Zostaniemy tam do godziny drugiej. Oto sposobność dla pana do zobaczenia się ze mną na osobności. Gdy tylko hrabina odjedzie, jej służba napewno się rozejdzie; w sieni zostanie szwajcar, ale i on zazwyczaj kryje się w swej izdebce. Proszę przyjść o wpół do dwunastej i wejść wprost na schody. Jeśli pan spotka kogo w przedpokoju, proszę zapytać, czy hrabina w domu. Odpowiedzą: "nie!" i trzeba będzie zawrócić. Lecz, prawdopodobnie nie spotka pan nikogo. Pokojówki siedzą u siebie, wszystkie w jednym pokoju. Z przedpokoju proszę iść na lewo, a później wciąż prosto do sypialni hrabiny. W sypialni za parawanem, ujrzy pan dwoje małych drzwi: na prawo gabinet, do którego hrabina nigdy nie wchodzi; na lewo kurytarz, a w nim wąskie, kręcone schody, prowadzące do mojego pokoju".

German dygotał, jak tygrys, oczekując naznaczonej pory. O dziesiątej wieczorem już stał przed domem hrabiny. Pogoda była okropna: wiatr wył; mokry śnieg padał płatami; latarnie świeciły się mglisto; ulice były puste. Tu i tam zrzadka włókł się dorożkarz z chudą szkapą, wypatrując spóźnionego gościa. German stał tylko w surducie, nie czując ni wiatru, ni śniegu. Nakoniec zajechała karetą hrabiny. German widział, jak lokaje wynieśli pod ręce zgarbioną staruszkę, zakutaną w sobolową szubę i jak w ślad za nią przesunęła się jej wychowanica, w lichym płaszczu, z głową ustrojoną świeżymi kwiatami. Drzwi zatrasnęły się. Karetą ciężko potoczyła się po miękkim śniegu. Szwajcar zaniknął drzwi. Okna zgasły. German zaczął chodzić koło opustoszałego domu; podszedł do latarni, spojrzął na zegarek; było dwadzieścia minut po jedenastej. Został przy latarni wpatrzony we wskazówkę zegarka, oczekując ostatniej minuty. Punktualnie wpół do dwunastej German wstąpił na ganek hrabiowski i wszedł do jasno oświetlonej sieni. Szwajcara nie było. German wbiegł po schodach, otworzył drzwi do przedpokoju i ujrzał służącego, który spał pod lampą w staroświeckim, zbrudzonym fotelu. Lekkim i twardym krokiem przeszedł German obok niego. Sala i salon były ciemne. Lampa z przedpokoju oświetlała je słabo. German wszedł do sypialni. Przed szafką, napełnioną starymi obrazami migotała złota lampa. Wypełnione fotele i sofy z puchowem i poduszkami, ze startą poźłotą, stały w rozpaczliwej symetrii wokół ścian okrytych chińskim obiciem. Na ścianie wisiały dwa portrety, malowane w Paryżu przez M-me Lebrun. Jeden z nich przedstawiał mężczyznę lat -czterdziestu, rumianego, o pełnej twarzy w jasnozielonym mundurze i z gwiazdą; drugi — młodą piękność z orlim nosem, z podczesaną w górę, z różą w pudrowanych włosach. Po wszystkich kątach sterczały porcelanowe pastuszki, stołowy zegar słynnego Leroy, pudełeczka, ruletki, wachlarze i różne damskie zabawki, produkowane w końcu minionego stulecia wraz z balonami Mongolfier'ów i mesmerowskim magnetyzmem. German wszedł za parawan. Stało za nim maleńkie żelazne łóżko; na

prawo, znajdowały się drzwi, prowadzące do gabinetu, na lewo do kurytarza. German otworzył je i ujrzał wąskie, kręcone schody, które wiodły do pokoju biednej wychowawicy... Lecz wrócił i wszedł do ciemnego gabinetu.

Czas płynął powoli, Było całkiem cicho. W stołowym pokoju wybiła dwunasta; we wszystkich pokojach zegary, jeden za drugim, wybiły dwunastą i znów wszystko zamilkło. German stał, oparłszy się o chłodny piec. Był spokojny; serce mu biło miarowo, jak u człowieka zdecydowanego na rzecz niebezpieczną, ale konieczną. Zegary wybiły pierwszą i drugą godzinę, gdy usłyszał daleki turkot karety. Ogarnęło go mimowolne wzruszenie. Kareta zajechała i stanęła. Słyszał stuk opuszczanego stopnia. W domu zakrzętnięto się. Ludzie biegali, rozległy się głosy i dom nappełniło światło. Do sypialni wbiegły trzy służące, a hrabina weszła ledwie żywa; opadła w wolterowski fotel. German patrzył przez szczelinę. Liza Iwanowna przeszła obok niego. German usłyszał jej szybkie kroki po stopniach schodów. W sercu jego odezwało się coś podobnego do wyrzutów sumienia i znów zamilkło. Skamieniał.

Hrabina zaczęła się rozbierać przed zwierciadłem. Zdjęto z niej czepiec, zdobny różami; zdjęto napudrowaną perukę z jej siwej i krótko ostrzyżonej głowy. Szpilki, jak deszcz spadały wokoło niej. Żółta suknia, szyta srebrem, upadła do jej opuchniętych nóg. German był świadkiem wstrętnych tajemnic jej toalety; nakoniec hrabina została w nocnym kaftaniku i nocnym czepku. W tym stroju, bardziej właściwym jej starości wydawała się mniej straszna i obrzydliwa.

Jak wogóle wszyscy starcy, hrabina cierpiała na bezsenność. Rozebrawszy się, siadła przy oknie w wolterowskim fotelu i odprawiła służące. Wyniesiono świece; pokój znów oświecała lampa pod obrazem. Hrabina siedziała cała żółta, poruszając obwisłymi wargami, kołysząc się na prawo i lewo. W mętnych jej oczach wyrażał się całkowity brak myśli; patrząc na nią, można było pomyśleć, że kiwanie strasznej staruszki nie było skutkiem jej woli, ale działania ukrytego galwanizmu.

Nagle ta martwa twarz zmieniła się w sposób niewyjaśniony. Wargi przestały się poruszać, oczy ożywiły się: przed hrabiną stał nieznajomy mężczyzna.

— Proszę się nie bać, na Boga, proszę się nie bać! — rzekł wnikliwym i cichym głosem. — Nie mam zamiaru pani zrobić krzywdy; przyszedłem błagać panią o jedną łaskę.

Staruszka, milcząc, patrzyła na niego i zdawało się, że go słyszy. German pomyślał, że jest głucha i ukłoniwszy się nad samem jej uchem, powtórzył to samo. Staruszka milczała, jak poprzednio.

— Może pani stworzyć szczęście mojego życia — mówił dalej German — i nic to nie będzie panią kosztowało; wiem, iż może pani odgadnąć trzy karty z rzędu...

German zamilkł. Hrabina, zda się, zrozumiała, czego od niej żądano; zda się, szukała słów dla odpowiedzi.

— To był żart, — powiedziała w końcu, — przysięgam panu, że to był żart.

— Niema w tem żartu, — odparł gniewnie German. — Niech pani przypomni sobie Czaplickiego, któremu pani pomogła odegrać się.

Hrabina wyraźnie zmieszała się. Rysy jej wyrażały wielki wysiłek duchowy, lecz wkrótce wpadła znowu w poprzednią martwość.

— Czy może mi pani — mówił German dalej — naznaczyć te trzy karty niechybne?

Hrabina milczała; German ciągnął:

— Dla kogoż ma pani chronić swą tajemnicę? Dla wnuków? Oni są bogaci i bez tego; nie znają nawet wartości pieniędzy. Utracjuszowi nie pomogą wasze trzy karty. Kto nie umie strzec ojcowizny, ten wszystko jedno umrze w nędzy, wbrew nawet Bóg wie jakim demonicznym wysiłkom. Nie jestem utracjuszem; znam wartość pieniądza. Trzy karty pani nie pójdą na marne u mnie. No!

Zatrzymał się i z drzeniem oczekiwał odpowiedzi. Hrabina milczała; German padł na kolana.

— Jeśli kiedykolwiek, rzekł, serce pani znało uczucie miłości, jeśli pamięta pani uniesienia jej, jeżeli pani choć raz uśmiechnęła się przy płaczu nowonarodzonego syna, jeżeli cokolwiek ludzkiego było kiedykolwiek w pani piersiach, błagam panią w imię uczuć żony, kochanki, matki, wszystkiego, co jest święte w życiu, nie odmawiaj mej prośbie, odsłoń mi swą tajemnicę, co pani po niej?... Może jest ona związana ze strasznym grzechem, z utratą wiekuistego szczęścia, z djabelską umową... Pomyśl pani, jesteś stara, żyć będziesz niedługo — gotów jestem wziąć grzech twój na swoją duszę. Odsłoń mi tylko swą tajemnicę. Pomyśl pani, że szczęście człowieka znajduje się w twem ręku, że nietylko ja, ale i dzieci moje, wnuki i prawnuki będą błogosławiły twoją pamięć i czcić ją, jako świętość...

Staruszka nie odpowiada ani słowem. German powstał.

— Stara wiedźmo! — rzekł, zacisnąwszy zęby, a więc zmuszę cię do odpowiedzi...

Z temi słowy wyjął z kieszeni pistolet. Na widok pistoletu hrabina po raz wtóry okazała silne wzruszenie. Zakiwała głową i podniosła rękę, jakby zasłaniając się przed wystrzałem... potem upadła na wznak... i pozostała nieruchoma.

— Dość tej dziecinnady, — rzekł German, wzięwszy ją za rękę. — Pytam ostatni raz, chce pani mi naznaczyć te trzy karty? tak, czy nie?

Hrabina nie odpowiadała. German zrozumiał, że umarła.

IV.

7 Mai 18

Homme sans moeurs et sans religion.

Korespondencja.

Liza Iwanowa siedziała w swym pokoju jeszcze w balowej sukni, pogrążona w głębokich rozmyślaniach. Przyjechawszy do domu, pośpiesznie odprawiła zaspaną dziewczkę, narzucającą się z usługami, mówiąc, że rozbierze się sama i z drzeniem weszła do siebie w nadziei, że zastanie tam Germana. Pragnęła go nie zastać. Ujrzawszy, że go niema, błogosławiła los, że przeszkodził spotkaniu. Siadła, nie rozbierając się i zaczęła przypominać sobie wszystkie okoliczności, które w tak krótkim czasie tak daleko ją zaprowadziły. Nie minęły trzy tygodnie od chwili, gdy pierwszy raz ujrzała przez okno młodego człowieka — i już z nim prowadzi korespondencję, a on zdążył wymóc na niej nocną schadzkę! Znała jego nazwisko tylko dlatego, że niektóre listy były niem podpisane; nigdy o nim nie słyszała... aż do tego właśnie wieczoru. Dziwna rzecz! W ten sam wieczór na balu Tomski, dając się na młodą księżniczkę Polinę, która nie flirtowała według zwyczaju z nim, pragnął zemścić się przez okazanie obojętności; przywołał Lizę Iwanównę i tańczył z nią przewlekłego mazura. Przez cały czas żartował z jej roznamiętnienia do oficerów inżynierji, zapewniał, że wie więcej niż mogła się spodziewać, a niektóre żarty jego były tak trafnie zastosowane, iż Liza Iwanowa myślała kilkakrotnie, że tajemnica jej była powszechnie znana.

— Od kogo pan to wszystko wie? — zapytała śmiejąc się.

— Od przyjaciela znanej pani osoby, odpowiedział Tomski, człowieka bardzo znakomitego!

— Któż jest tym znakomitym człowiekiem?

— Nazywa się German.

Liza Iwanowa nie odpowiedziała; ale złodowaciały jej ręce i nogi...

— Ów German, ciągnął Tomski, to postać naprawdę romantyczna, ma profil Napoleona i duszę Mefistofela. Sądzę, że ma on na sumieniu przynajmniej trzy zbrodnie. Jak pani zbladła!...

— Boli mnie głowa... Cóż mówił panu German... czy jak go tam?...

— German jest bardzo niezadowolony ze swego przyjaciela; powiada, że na jego miejscu postąpiłby całkiem inaczej... Przypuszczam nawet, iż sam German ma w stosunku do pani pewne widoki; w każdym razie słucha okrzyków miłosnych swego przyjaciela z dużym brakiem równowagi...

— Ależ gdzie on mnie widział?

— W cerkwi, lub może na spacerze!... Bóg to wie! Może był w pokoju pani, podczas gdy pani spała, stać go na to...

Trzy damy podeszły do nich z pytaniami "oubli on regret?" i przerwały rozmowę, która stawała się dręcząco ciekawa dla Lizy Iwanowny.

Damą wybraną przez Tomskiego była księżna X, Zdążyła się z nim pogodzić. Tomski, wróciwszy na swoje miejsce, nie myślał już o Germanie, ani o Lidzie Iwanownie, która chciała koniecznie nawiązać przerwana rozmowę, lecz mazur się skończył i wkrótce potem stara hrabina odjechała.

Słowa Tomskiego były tylko gawędą mazurową, ale głęboko zapadły w duszę młodej marzycielki. Portret, zarysowany przez Tomskiego, godził się z jej własnem wyobrażeniem i dzięki najnowszym romansom ta podła teraz postać napawała ją strachem i przykuwała jej wyobraźnię.

Siedziała, złożywszy nagie ręce na krzyż, skłoniwszy na odsłoniętą pierś głowę Jeszcze ubraną kwiatami.

Naraz drzwi się otwarły i wszedł German. Zadygotała...

— Gdzież pan był? — zapytała przerażonym szeptem.

— W sypialni u starej hrabiny, — odrzekł German, — właśnie idę od niej.

Hrabina umarła.

— Boże mój!..., co pan mówi?

— I zdaje się. ciągnął German, ja stałem się przyczyną jej śmierci.

Liza Iwanowna spojrzała na niego i zadźwięczały jej w duszy słowa Tomskiego: ten człowiek ma najmniej trzy zbrodnie na sumieniu! German usiadł na oknie tuż przy niej i wszystko opowiedział.

Liza Iwanowna wysłuchiwała go z przerażeniem. A więc te namiętne listy, te płomienne żądania, to uparte i brutalne prześladowanie — to wszystko nie była miłość! Pieniądze! — oto czego była głodna jego dusza! Nie ona mogła ugasić jego żądze i uszczęśliwić go! Biedna wychowanica była tylko ślepym narzędziem rozbójnika, zabójcy starej jej dobrodziejki L. Zapłakała gorzko w spóźnionym i męczącym żalu. German patrzył na nią milcząco; serce jego szarpało się również, lecz nie łązy biednej dziewczyny, ani niezwykły urok jej rozpaczy targał duszę. Nie czuł wyrzutów sumienia na myśl o martwej staruszce. Jedna rzecz go przerażała: niepowrotna utrata tajemnicy, od której oczekiwał wzbogacenia się.

— Jest pan potworem! — rzekła w końcu Liza Iwanowna.

— Nie chciałem jej śmierci, odpowiedział German, mój pistolet jest nienabity.

Zamilkli.

Nastąpił poranek. Liza Iwanowna zgasiła dogorywającą świecę; blady świt opromienił jej pokój. Otarła zapłakane oczy i podniosła je na Germana. Siedział na oknie, złożywszy ręce, groźnie zmarszczony. W tej pozycji przypominał portret Napoleona. Podobieństwo to uderzyło nawet Lizę Iwanownę.

— Jak pan wyjdzie z domu? — rzekła wreszcie Liza Iwanowna. — Chciałam pana przeprowadzić po skrytych schodach lecz trzeba przejść obok sypialni, a ja się boję...

— Proszę mi powiedzieć, jak szukać tych ukrytych schodów — wyjdę.

Liza Iwanowna wstała, wyjęła klucz z komody, wręczyła go Germanowi i dała mu dokładne wskazówki. German uścisnął jej zimną, obojętną rękę, pocałował ją w nachyloną głowę i wyszedł. Zeszedł w dół po kręconych schodach i wszedł znowu do sypialni hrabiny. Martwa staruszka siedziała sztywna; twarz jej wyrażała głęboki spokój. German zatrzymał się przed nią, długo patrzył na nią, jakby chcąc się przekonać o strasznej prawdzie, w końcu wszedł do gabinetu, znalazł drzwi za obiciem i zaczął zstępować po ciemnych schodach, targany dziwnymi uczuciami. "Po tych samych schodach — myślał — być może lat sześćdziesiąt temu, do tej samej sypialni, o tej samej porze, przekradał się w haftowanym fraku, zaczesany a l'oiseau royal przyciskając do serca trójrożny kapelusz młody szczęśliwiec, który zgnił już dawno w grobie, a serce jego kochanki przestało bić dzisiaj..."

V.

*Tej nocy zjawiała mi się nieboszczka baronowa Wxxx.
Była w białej szacie i rzekła do mnie: "witaj, panie radco!"*

Swedenborg.

W trzy dni po strasznej nocy, o dziesiątej godzinie rano German udał się do klasztoru X, gdzie miało być nabożeństwo nad ciałem zmarłej hrabiny. Nie czując żalu, nie mógł jednak zagłuszyć całkiem głosu sumienia, który twierdził: jesteś zabójcą staruszki! Posiadając mało prawdziwej wiary, miał wiele przesądów. Wierzył, że martwa hrabina mogła mieć szkodliwy wpływ na jego życie i postanowił uczestniczyć w jej pogrzebie, aby prosić o przebaczenie.

Cerkiew była pełna. German ledwie mógł się przepchnąć przez tłumy. Trumna stała na bogatym katafalku pod jedwabnym baldachimem. Nieboszczka leżała z rękami złożonymi na piersi, w koronkowym czepcu i w białej atlasowej sukni. Dookoła stali jej domownicy: służba w czarnej odzieży ze świecami w rękach, krewni w głębokiej żałobie; dzieci, wnuki i prawnuki. Nikt nie płakał, łzy byłyby *une affectation*. Hrabina była tak stara, że śmierć jej nie mogła nikogo poruszyć, a jej krewni oddawna patrzyli na nią, jak na nieżyjącą. Młody archirej wypowiedział pogrzebową mowę. W prostych i wyruszających wyrażeniach przedstawił spokojną śmierć istoty prawej, której długie lata były cichem, łagodnym przygotowaniem się do chrześcijańskiego skonu. "Anioł śmierci zabrał ją — rzekł orator w chwili błogich rozmyślań, w oczekiwaniu oblubieńca o północy".

Obrzęd skończył się w bolesnym spokoju. Krewni poszli pierwsi żegnać się z ciałem. Potem ruszyli liczni goście, którzy zjechali się, by pokłonić się tej, co tak długo była uczestniczką ich ruchliwych zabaw. Po nich wszyscy domownicy. Wreszcie zbliżyła się stara ochmistrzyni, rówieśnica nieboszczki. Dwie młode dziewczyny wiodły ją pod rękę. Nie miała siły pokłonić się do ziemi i ona jedna wylała kilka łez, pocałowałwszy zimną rękę swej pani. Po niej zdecydował się German podejść do trumny. Pokłonił się do ziemi, wysypanej jedliną, wreszcie podniósłszy się, blady jak sama nieboszczka, wszedł na stopnie katafalku i pokłonił się... W tej chwili zdało mu się, że umarła spojrzała na niego drwiąco, przymrużając jedno oko. German cofnął się pośpiesznie, potknął się na wznak runął na ziemię. Podniesiono go. Równocześnie wyniesiono na podwórze zemdloną Lizę Iwanownę. Epizod ten pomięszał na kilka chwil powagę ponurego obrzędu. Pośród uczestników podniosło się głucho szemranie, a chudy kamerherr, bliski krewny nieboszczki, szepnął na ucho, stojącemu obok anglikowi, że młody oficer to jej nielegalny syn, na co anglik odrzekł zimno: "Oh?"

Przez cały dzień German był niezwykle rozstrojony. Jedząc obiad w skromnej jadłodajni, pił wbrew swemu zwyczajowi bardzo dużo, chcąc zagłuszyć niepokój wewnętrzny. Lecz wino jeszcze bardziej gorączkowało jego wyobraźnię. Wróciwszy do domu rzucił się w ubraniu na łóżko i twardo zasnął.

Przebudził się już w nocy; księżyc oświecał pokój. Spojrzał na zegar: było trzy na trzecią. Sen go odleciał; siadł na łóżku i myślał o pogrzebie starej hrabiny.

Wtedy to zajrzał ktoś z ulicy przez okno i zaraz odszedł. German wcale nie zwrócił na to uwagi. Po chwili usłyszał, że ktoś otwiera drzwi w pierwszym pokoju. German sądził, że to ordynans jak zazwyczaj pijany wraca z nocnej wycieczki. Ale poznał nieznajomy chód. Ktoś chodził, cicho szurając pantoflami. Drzwi otworzyły się: weszła kobieta w białej sukni. German wziął ją za swoją starą mamkę i zdziwił się — co mogło ją sprowadzić o takiej porze? Lecz kobieta w bieli idąc

posuwiście, nagle stanęła przed nim — i German poznał hrabinę!

— Przyszłam do ciebie wbrew swojej woli, — rzekła twardym głosem, — kazano mi jednak wypełnić twoją prośbę. Trójka, siódemka i as wygrają ci po kolei, lecz pod warunkiem, żebyś nie stawiał więcej kart niż jedną na dobę i żebyś przez całe życie potem nie grał, Przebaczam ci moją śmierć z tem, że ożenisz się z moją wychowanicą Liżą Iwanowną...

Z temi słowy odwróciła się cicho, poszła do drzwi i zniknęła, suwając pantoflami. German słyszał, jak drzwi trzasnęły w sieniach i ujrzał, że ktoś znowu spojrział na niego przez okno.

German długo nie mógł się otrząsnąć. Wyszedł do drugiego pokoju. Ordynans spał na podłodze. German z trudem dobudził go. Ordynans był pijany jak zwykle; nie można się było z nim dogadać. Drzwi od sieni były zamknięte. German wrócił do swego pokoju, zapalił świecę i zanotował swe widzenie.

VI.

— *Attande!*

— *Jak pan śmiał rzec mi attande?*

— *Wasza wielmożność, powiedziałem attande.*

Dwie myśli bez ruchu nie mogą razem istnieć w przyrodzie duchowej, tak samo jak dwa ciała nie mogą zajmować jednego miejsca w świecie fizycznym. Trójka, siódemka, as wkrótce zatarły w wyobraźni Germana obraz zmarłej staruszki. Trójka, siódemka, as nie wychodziły z jego głowy i plątały się na jego ustach. Ujrzawszy młodą dziewczynę mówił: "jaka ona wdzięczna! prawdziwa trójka czerwienna". Pytano go: "która godzina?" on zaś odpowiadał "bez pięciu minut siódemka". Każdy pyzaty mężczyzna przywodził mu na myśl asa. Trójka, siódemka, as prześladowały go we śnie, przybierając wszelki możliwy wygląd; trójka rozkwitała przed nim niby wspaniały prandiflor, siódemka przybierała kształt gotyckiej bramy, as ogromnego pająka. Wszystkie myśli jego zlały się w jedną — wyzyskania tajemnicy, która go kosztowała tak drogo. Zaczął myśleć o dymisji i o podróży. Chciał w jawnych domach gry Paryża wydrzeć skarb zaczarowanej fortunie. Przypadek wybawił go z kłopotów.

W Moskwie zebrało się towarzystwo bogatych graczy pod przewodnictwem słynnego Czekalińskiego, który spędził całe życie przy kartach i stracił kiedyś miliony, wygrywając weksle, a przegrywając gotówkę. Długotrwałym doświadczeniem zyskał zaufanie u przyjaciół, zaś otwartym domem, doskonałym kucharzem, uprzejmością i wesołością zjednał sobie uznanie opinji. Przybył on do Petersburga. Młodzież napływała do niego, zapominając dla kart o balach i przekładając wdzięki faraona nad urok hulanki. Narumow zaprowadził tam Germana.

Przeszli szereg wspaniałych komnat, pełnych solidnych oficjantów. Wszystkie sale pełne były ludzi. Kilku generałów i tajnych radców grało w wista; młodzież siedziała, porozwalana na sofach, jedząc lody i paląc fajki. W salonie, przy Nagim stole, wokół którego tłoczyło się dwudziestu graczy, siedział gospodarz i trzymał bank. Był to człowiek lat sześćdziesięciu, bardzo szanownego wyglądu; głowę jego pokrywała srebrna siwizna; pełna i świeża twarz wyrażała dobroduszość; błyszczące oczy ożywiały stale uśmiech. Narumow przedstawił mu Germana. Czekaliński po przyjacielsku uścisnął mu rękę, prosił, aby się nie krępowano i dalej rzucał karty.

Talja ciągnęła się długo. Na stole leżało więcej niż trzydzieści kart. Czekaliński zatrzymywał się po każdym wyłożeniu karty, aby dać czas graczom na decyzję, zapisywał przegrane, sumiennie wysłuchiwał pretensyj i jeszcze sumiennie odginał niepotrzebne rogi, zagięte roztargnioną ręką. Nakoniec talja się skończyła. Czekaliński stasował karty i przygotował się do rzucania następnej.

— Pan pozwoli postawić kartę? — rzekł German, wyciągając rękę z poza otyłego jegomościa, poniterującego tuż obok. Czekaliński uśmiechnął się i skłonił się milcząc na znak pokornej zgody. Narumow, śmiejąc się, powinszował Germanowi opuszczenia długotrwałego stanowiska i życzył mu szczęśliwego początku.

— Idzie! — rzekł German, wypisawszy kredą cyfrę nad swoją kartą.

— Ile? — zapytał przymrużając oczy, bankier, — przepraszam nie dowidzę.

— Czterdzieści siedem tysięcy — odparł German. Przy tych słowach wszystkie głowy odwróciły się momentalnie i wszystkie oczy wbiły się w Germana.

— Zwarjował! — pomyślał Narumow.

— Pan pozwoli zwrócić sobie uwagę. — rzekł Czekaliński z niezmiennym uśmiechem, że gra pańska jest mocna; nikt nie postawił jeszcze ponad dwieście siedemdziesiąt pięć simplem.

— Cóż więc? — odparł German — bije pan moją kartę czy nie?

Czekaliński skłonił się z wyrazem takiej samej spokojnej zgody.

— Chciałem tylko zawiadomić pana, rzekł, iż obdarzony zaufaniem towarzyszy, nie mogę rzucać inaczej, jak tylko na gotówkę. Ze swej strony, naturalnie, pewien jestem, iż dość pańskiego słowa, ale dla porządku gry i rachunku, proszę pana o postawienie pieniędzy na kartę.

German wyjął z kieszeni banknot i podał go Czekalińskiemu, który biegle go obejrzał i położył na kartę Germana. Zaczął rzucać, Na prawo padła dziewiątka, na lewo trójka.

— Wygrała! rzekł German, pokazując swoją kartę.

— Wśród graczy rozległ się szept. Czekaliński zasepił się. lecz uśmiech wrócił natychmiast na jego twarz.

— Zechce pan odebrać? — zapytał Germana.

— Niech pan będzie łaskaw.

Czekaliński wyjął z kieszeni kilka banknotów i natychmiast wypłacił się. German przyjął pieniądze i odszedł od stołu. Narumow nie mógł wyjść z podziwu. German wypił szklanekę limoniady i zabrał się do domu.

Na drugi dzień wieczorem znowu zjawił się u Czekalińskiego. Gospodarz rzucał. German podszedł do stołu; poniterzy natychmiast ustąpili mu miejsca. Czekaliński uprzejmie mu się uklonił.

German doczekał się nowej talji, postawił kartę, położył na niej owe czterdzieści siedem tysięcy i wczorajszą wygraną. Czekaliński zaczął rzucać. Walet wyszedł na prawo, siódemka na lewo.

German pokazał siódemkę.

Wszyscy wydali okrzyk zdumienia. Czekaliński całkiem wyraźnie zmięszał się. Odliczył dziewięćdziesiąt cztery tysiące i podał Germanowi. German przyjął je z zimną krwią i natychmiast się oddalił.

Następnego wieczoru German zjawił się znowu przy stole. Wszyscy go oczekiwali; generałowie i tajni radcy porzucili swego wista, aby zobaczyć grę tak niezwykłą. Młodzi oficerowie zeskoczyli z sof; wszyscy oficjanci zebrali się w salonie. Wszyscy otoczyli Germana. Inni gracze nie postawili swoich kart, czekając niecierpliwie, czem się to skończy. German stał przy stole, gotując się sam poniterować przeciw biednemu, ale zawsze uśmiechniętemu Czekalińskiemu. Każdy z nich odpieczętował talję kart. Czekaliński stasował. German przełożył i postawił swoją Kartę, pokrywając ją kupą banknotów. Było to podobne do pojedynku. Głębokie milczenie panowało naokół. Czekaliński zaczął rzucać; ręce mu się trzęsły. Na prawo padła dama, na lewo as.

— As wygrał! — rzekł German i odsłonił swoją kartę.

— Pańska dama zabita, — rzekł uprzejmie Czekaliński.

German zadygotał; rzeczywiście zamiast asa leżała przy nim pikowa dama. Nie wierzył swoim oczom, nie pojmując, jak mógł się pomylić.

W tej chwili wydało mu się, że pikowa dama przymrużyła oczy i uśmiechnęła się. Uderzyło go niezwykle podobieństwo...

— Staruszka! — zakrzyczał w przerażeniu.

Czekaliński przysunął ku sobie przegrane banknoty. German stał nieruchomo. Gdy odszedł od stołu, zerwała się rozmowa: "Świetnie sponiterował!" mówili gracze. Czekaliński znów stasował karty, gra poszła swoją koleją.

ZAKOŃCZENIE.

German zwarjował. Siedzi w obuchowskim szpitalu, pod siedemnastym numerem, nie odpowiada na żadne pytanie i pomrukuje szybko: "Trójka, siódemka, dama!"

Liza Iwanowna wyszła zamaż za bardzo miłego młodzieńca; jest on gdzieś urzędnikiem i posiada porządne utrzymanie; jest on synem byłego zarządcy starej hrabiny. U Lizy Iwanowny wychowuje się uboga krewna.

Tomski został rotmistrzem i ożenił się z księżną Poliną.

Przygotowano na podstawie bookini.pl